

Ej poczekaj — siadajno i wróćmy do miasta po rzeczy.

— Ja nie chcę — ja idę do domu — a wy sobie jedźcie

— Ale to być nie może.

— Nie wróć — do widzenia! Tak kończył Jasio i wybierał się iść dalej.

Sąsiad widząc że nie dójdzie do ładu z upartym studentem, zawrócił wóz, wziął chłopca i powiózł do domu. Długo milczał wreszcie odezwał się: Słuchaj Jasio, ojciec bardzo chory, i dla tego nie przysyłał tak długo koni.

— Tato chory powtórzył z płaczem mały.

— Tak bardzo chory, teraz cholera. Kara boska. Już dużo ludzi u nas poumierało. I mama twoja chorowała ale ją wyleczyli. Ona wstała z łóżka, a ojciec zaraz się położył i...

— I co?

— I — nie wiedzieć jakim cudem wyzdrowieje.

Jadą i mówią. Sąsiad Jasia pociesza. Popatrzmy tymczasem co tam się dzieje u ślusarza Mateusza.

Z rana się wcale nie postrzegli, że chłopca nie ma. Nie przyszedł na śniadanie, może jest w kościele. Ale już i południe, a jego jeszcze nie ma. Teraz dopiero pan Mateusz posłał z warstatu jednego i drugiego pomocnika do miasta, aby się popytali czy kto chłopca nie widział, a gdy z niczem wrócili, zebrał się sam i także wyszedłszy nie się dowiedzieć nie mógł, ani od studentów, ani od znajomych. Wrócił do domu mocno zaturbowany. Było to właśnie w sobotę. Naradził się z żoną. Kobieta rozumna zaraz wpadła na myśl, czy chłopiec do domu nie poszedł? Ale po radzie stanęło na tem, aby Mateusz sam raniutko w niedzielę wybrał się do sąsiedniego miasteczka, do krewniaka Kawki i dowiedział się czy tam chłopiec nie poszedł. Jak postanowili tak się też stało. W niedzielę rano jechał Mateusz tą samą drogą, którą wczoraj chłopiec zmierzał do domu. Wiedząc o tem że cholera grasuje, a w polu nie znaleźć lekarza, ani apteki wziął ze sobą krople miętowe i inne, które lekarze dają przeciw tej chorobie.

Około południa stanęły konie przed domem Kawki. Pan Mateusz wysiadł, ale mrowie przeszło mu po skórze. Z jednej strony domku było, przysłonięte okno i widocznie świece gorzały, a ze środka dobywał się głośny płacz kobiety. Wszedł do izby. Ojciec Jaska leżał na katafalku. Miałem światłem oświecają woskowe kolorowe świece izdebkę. Przy nogach ojca klęczy Jasio i cicho płacze, łzy mu płyną po twarzy, ale nie słychać łkania. Kilku sąsiadów odmawia pacierze. W drugim pokoiku głośno płacze żona nieboszczyka, a dwie kobiety siedzą przy niej i niby pocieszają. Ale po co to próżne słowa tracić. Człowiek w strapieniu prędzej sam przeboli, sam się zmoże i z wolą Bożą się zgodzi.

Mateusz przykląkł i zmówił pacierz po cichu. Potem wstał otarł kolorową chustką łzy z oczu i przybliżywszy się do Jasia ucałował go w głowę. Teraz dopiero zbudził się chłopiec niby ze snu, bo nic nie widział, co się dzieje w okół, obrócił głowę i spojrzał na Mateusza.

Wstańno moje dziecko, łagodnie powiedział do chłopca.

Mały pomału się podniósł i rzucając się na piersi przybytemu mocno w głos się rozplakał. Mateusz tulił go do

piersi, iza mu spadła na czoło chłopięce i szeptał, nie płacz dziecko ja ci będę ojcem.

Zaprowadził go do drugiego pokoju gdzie płakała matka a stawiając chłopczyne przed nią rzekł:

— Matko to twój syn! Pamiętaj, że po stracie ojca powinnaś się pani zająć jego wychowaniem.

Matka przycisnęła jedynaka do piersi. Spokojne i urozyste zachowanie się p. Mateusza wielkie na nią zrobiło wrażenie. Zdawało się jej, że Bóg jej zesłał opiekuna.

Dziady przyszli po obiedzie i ksiądz i bractwo. Ksiądz śpiewał i kropił święconą wodą. Zabito trumnę i położono na czarny karawan. Za zwłokami szła żona płacząca i syn, przyjaciel Mateusz i kilku sąsiadów. Cicho w miasteczku, mało życia, niby po pustkowiu rozbija się głos dzwonów. Zdaje się, że cholera już wszystko zabrała. A przecie ludzie żyją, ale wystraszeni prawie jeden drugiego się obawia. Co dnia ze dwa pogrzeby. Boże zmiłuj się nad nami!

(C. d. n.)

Przegląd stowarzyszeń rękodzielniczych.

We Lwowie dnia 20. czerwca w obec licznie zgromadzonych członków stowarzyszenia „Gwiazdy“ w lokalu stowarzyszenia, przedłożył prezes p. Aleksandrowicz uchwałę wydziału stanowiącą, aby dla wzajemnego oświecenia członków odbywały się rozmowy, dysputy o różnych sprawach krajowych. Wykazywał potrzebę takiego objaśniania się tem, że przy dzisiejszych wolniejszych stosunkach krajowych, obowiązany jest każdy obywatel kraju szczerze się interesować wszystkimi sprawami publicznymi. Że każdy może być kiedyś powołany do prowadzenia, czy to nowego towarzystwa, czy innej ważnej krajowej sprawy, więc takie dysputy będą szkołą dla członków towarzystwa. Mówił, że życzeniem wydziału jest, aby przy takich dysputach po kolei wybierani byli obecni członkowie do prowadzenia dyskusji na przewodniczących. Zgromadzenie z zapalem przyjęło wnioszek wydziału i przychyliło się do zdania p. Mańkowskiego większością głosów, aby takie dysputy odbywały się co niedzielę po południu o 3. godzinie.

To postanowienie ma wielką doniosłość, polecamy jak najgoręcej istniejącym już stowarzyszeniom rękodzielniczym po innych miastach tę uchwałę do naśladowania. Niejeden z rękodzielników ma bardzo zdrowe zdania, ale jest nieśmiały i dla tego może nie potrafi wystąpić publicznie, bo nie ma odwagi; tu zaś w takim poufnym zebraniu między kolegami, między przyjaciółmi nauczy się otwarcie swoje myśli wypowiadać i już przyzwyczajwszy się do mówienia w liczniejszym zgromadzeniu, powie śmiało i przekonywać będzie publicznie jeżeli się sposobność nadarzy.

Przedmiotem rozpraw będą najpierwej interesy rękodzielnicze wymagające u nas tyle zmian i polepszeń, a potem będą wszystkie sprawy roztrząsane, jakie podadzą członkowie pod dyskusję. By zaś z korzyścią, trwale to zaprowadzenie było utrzymane, będą prowadzone rozprawy w granicach parlamentarnych i sprawy osobiste nie będą przez zebranie omawiane. To zastrzeżenie jest bardzo ważne, bo nie będą wywlekane sprawy osobiste, prowadzące tylko do rozjątrzenia i upadku, ale przyjdą pod obrady sprawy publiczne z największą korzyścią